

grzebią rozpaczliwie, próbując wyrwać zapadnięty tułów. Skazaniec, stojący przed chwilą wykonania wyroku, drży z trwogi przed ostateczną chwilą, która zaledwie parę sekund potrwa. A cóż dopiero człowiek, który w bagno przypadkiem wpadłszy, przeżywa długie godziny konania! Bo nieznacznie, coraz głębiej zapada się, przerażone oczy patrzą na coraz bliżej przysuwającą się toń bagniska... jak gdyby oblewające wody morza, człowieka do pola przywiązanego zatopić miały... Uwieszone ciało daremnie wyteża siły, rozpręża ramiona, coraz głębiej się zapada.

Mijając z lękiem te miejsca, szybkim krokiem podążył przez las. I tu natrafił na nieopogrzebane ciała, leżące przy ścieżkach. Ranni, dowlókszy się tutaj, nie mając znikąd ratunku, skończyli życie. Pod drzewem siedzący człek, ze zwieszoną na dół głową, przy nim kilka listów, przez wiatr rozprószonych... To ostatnia wola i myśl nieżywego już ciała. Zdrutgotana noga, z której postrzępione szmaty z zaschłą raną wyglądały, nie pozwoliła szukać ocalenia. Więc póki przytomność miał, do swoich napisać pragnął, śmierć mu ołówek z ręki wytrąciła, wicher postrzępił skrawek papieru, który ostatniem drgnieniem rąk, silnie przywarł do zaciśniętej dłoni.

Frankowi drżały nerwy z napięcia i przerażenia. To żniwo śmierci wojny wyczerać poczęło straszliwymi obrazami, wstrząsając nerwy ludzkie.

Kruki spłoszone, z głośnie krakaniem ucztę chwilowo porzuciły, a widząc oddalającego się Franka, napowrót zabrały się do przerwanej uczt.

Zamysłony Frank nie spostrzegł nawet, kiedy las się skończył i skąd widok na zamek się rozciągał. Podniósł głowę, obejmując wzrokiem okolice i okrzyk bolesny wyrwał się z jego ust.

Zdała świeciły ruiny pałacu, jak szkielet ludzki odarty z ciała, nagością swą przerażające. Więc puste okiennice, niby oczodoły czaszki, wiszące belki drewniane i strzępy murów — żebra ludzkie, spocone sztucznymi sprężynami, tworzące jedną całość.

Przytknął dłonie do rozpalonego czoła, znieruchomiał.

Mimo, że nie była to jego własność, lata włożonej doń pracy i trudu, przywiązania, jak również litość nad hrabią, który postradał to, co długie lata trudu i znoju kosztowało — stary zamek ojców — żal ścisnął jego sercem na widok tych gruzów.

Im bliżej podchodził do zamku, przedzierając się przez gąszcze, słyszał było krzyki i nawoływania. Wsłuchiwał się w dochodzące urywane słowa wyrazów i z radością się przekonał, że zamek zajęty jest przez armię sprzymierzonych. Linia zatem przez tę parę dni przeniosła się szybko — Rosyanie w szybkim odwrocie cofnęli się.

Przyspieszył kroku, dojrzał już z poza zburzonego ogrodzenia pałacu kręcących się żołnierzy.

Warta, po wyjaśnieniu przyczyn przybycia, odstawiła go do komendanta, który go szczegółowo wypytując poczał, spisując protokół z powodu rozstrzelania jeńca austriackiego przez żołnierzy rosyjskich. Komendant był Polakiem, przyjął go nader życzliwie, objaśniając, iż hrabia przed paru godzinami był w zamku i prawdopodobnie błądzi gdzieś po ruinach.

— Więc żona pańska na osadzie? — spytał wkońcu komendant.

— Tak, panie komendancie!

— Radziłbym przenieść ją tutaj i natychmiast cofnąć się gdzieś w głąb Królestwa. Wojna nadwyrężyła zdrowie żony — trzeba jej spokoju. Ułatwię państwu podróż!

— Serdecznie dziękuję! Chciałem jednak spotkać się z hrabią i dlatego proszę, bym się przedtem mógł z nim porozumieć.

— To już od pana zależy — życzliwie prze-rwał komendant — każdej chwili jestem do usług.

Frank z ulgą na sercu wyszedł na dziedziniec, obchodząc ruiny zamku, w nadziei spotkania hrabiego.

Tuż pod basztą, a raczej gruzami baszty, stał jakiś człowiek w zniszczonym ubraniu. W jednej kurczowo zaciśniętej ręce trzymał kapelusz, drugą zaś zasłonięte miał oczy. Biały włos okrywał głowę sześćdziesięcioletniego starca.

Frank, tknięty przecuciem, podbiegł ku stojącemu nieruchomo człowiekowi i krzyknął przeraźliwie:

— Panie hrabio!

Starzec ociężale podniósł oczy, drgnął i z ust wydarł się cichy szep:

— A to pan, panie Frank.

Frank przecierał poczał oczy, jakby w gorące jakiś przykry obraz, wywołany maligną, odpędzić zamierzał. Na kupie gruzów, z pośród których wyglądały szczątki ram, portretów poszarpane oblicza, sprzęty wszelkiego rodzaju, stał człowiek siwiuteńki, raczej wiekowy starzec, niż pełen sił trzydziestoletni mężczyzna, którego zaledwie przed paru dniami oglądał i z nim się rozstał. Twarz, wykrzywiona bólem wewnętrznym, porysowała się, zmarszczek linie przebiegły przez czoło...

W ciągu tych kilku dni lata przeżył długie cierpienia i zupełnie osiwił. Frank nie wierzył oczom, sądził, że ma przed sobą przodka hrabiego, którego maligna stawiała mu przed oczy. Otrzeźwił go głos hrabiego, z zbolalej piersi, skądś z zranionego serca płynący:

— Tak, to ja, panie Frank! Nie możesz mnie pan poznać? Chyba nie potrzebuję panu nic więcej mówić...

— To pan, panie hrabio?

— Tak! Widzi pan! Jedna noc w siwy włos mnie przyzdobiła. Jedna noc zrujnowała mnie do szczerbiny!

— Panie hrabio! Wszystko się da z gruzów dźwignąć!

— Eh — smutnie odparł hrabia zniechęcony, machając ręką — wszystko! Lecz nikt mnie i panu gruzów z serca nie dźwignie! Zresztą na co? Lata pracy, lata całe budować — by ruiny w zamian przez jedną noc mieć! Zostawię to innym czasom i innym pokoleniom. Nikt mi przeżytych chwil i serca z gruzów nie odbuduje — nikt i nie!

Potrącił nogą dębowe ramy portretu, schylił się, by szczątki malowidła przodka podnieść. Z przywartych powiek spłynęła łza serdecznego bólu i rozpacz i zmieszała się z popiołem i gruzem.

Długa chwila milczenia upłynęła. Było to nieme pożegnanie nieszczęsnego skazańca, wpatrującego się po raz ostatni w szczątki tego, co drogie sercu jego i co ukochał.

Frankowi, patrzącemu się na siwą postać pana, łyzy poczęły po wynędzniałych policzkach spływać...

— Ja, panie Frank, jadę obecnie do Warszawy. Nie mam tu co robić, raczej męką byłoby pozostać tutaj. Opuszczam zatem pradziadów siedzibę. Czy po wojnie tu wrócę, nie wiem. Czyż zdoła człowiek obliczyć wszystko, co w przyszłym życiu uczyni? Pozwól pan i przyjmij odemnie, jak od przyjaciela, tę smę, którą ci obecnie wręcę.

— Ależ, panie hrabio!

— Nie, panie! Radzę panu również uczynić to samo, choćby ze względu na rodzinę.

— Słusznie, panie hrabio! Byłem u komendanta, przyrzekł pomoc. Pojadę do Radomia, do krewnych i tam przytułek znajdę.

Frank zamierzał, opowiadając dzieje tułaczki i przeżyć, prosić hrabiego o wzajemny opis doznanych ciężkich chwil. Jednakże nie miał odwagi rozrzucać i krwawić świeżo powstałych blizn i nie ruszając już tego tematu, rozstał się serdecznie z hrabią, obiecując natychmiast po ulokowaniu rodziny w Radomiu wrócić i zająć się ruinami zamku.

I w parę dni później, zabierając resztki ocalonych od pożaru rzeczy, ruszył Frank z rodziną w stronę Radomia, dziękując Bogu za ocalenie.

Kozienice, w lutym 1916.



Legionści polscy w Pradze: Stacja zborna Legionów polskich w Pradze.

(Fot. inż. L. Bratz)